

Jerzy Szymik, Małgorzata Tytko

Teologia, Miłosz, literatura : z księdzem profesorem Jerzym Szymikiem rozmawia Małgorzata Tytko

Nurt SVD 47/wyd. spec., 152-160

2013

Artykuł został opracowany do udostępnienia w internecie przez Muzeum Historii Polski w ramach prac podejmowanych na rzecz zapewnienia otwartego, powszechnego i trwałego dostępu do polskiego dorobku naukowego i kulturalnego. Artykuł jest umieszczony w kolekcji cyfrowej bazhum.muzhp.pl, gromadzącej zawartość polskich czasopism humanistycznych i społecznych.

Tekst jest udostępniony do wykorzystania w ramach dozwolonego użytku.

Teologia, Miłosz, literatura. Z Księdzem Profesorem Jerzym Szymikiem rozmawia Małgorzata Tytko



Ks. Jerzy Szymik – ur. 1953 w Pszowie (Górny Śląsk). Kapłan Archidiecezji Katowickiej, profesor nauk teologicznych. Wykłada teologię dogmatyczną. 1986-2005 związany z Katolickim Uniwersytetem Lubelskim, gdzie pełnił m.in. funkcję kierownika Katedry Chrystologii. Od 2005 pracownik Zakładu Teologii Dogmatycznej WTL Uniwersytetu Śląskiego. Od 2007 zatrudniony na stanowisku profesora zwyczajnego. Członek watykańskiej Międzynarodowej Komisji Teologicznej.



Małgorzata Tytko – absolwentka Wydziału Polonistyki Uniwersytetu Jagiellońskiego, studiowała filologię polską i wiedzę o teatrze.

***Z inkantacji psalmicznej, z ucha przyłożonego do werse-
tów biblijnych Miłosz stworzył styl, który potrafi
unieść teologiczne prawdy. To jest genialne: literatu-
ra, która poprzez słowo zbliża nas do Logosu – mówi
Ks. Prof. Jerzy Szymik.***

- Obchodzimy Rok Czesława Miłosza¹. Ksiądz Profesor zajmuje się dorobkiem noblisty jako czytelnik, teolog, literaturoznawca. Proszę opowiedzieć o pierwszym spotkaniu z jego twórczością.

- Chodziłem do rydułtowskiego liceum w latach 1968-72. Pamiętam, że czytaliśmy na lekcji „Tren Fortynbrasa” Zbigniewa Her-

¹ Rozmowa została przeprowadzona w kwietniu 2011 roku [przyp. red.].

berta, ale o twórczości a nawet istnieniu Miłosza, któremu ten wiersz jest dedykowany, nikt się nawet nie zająknął. Po raz pierwszy z pełną świadomością usłyszałem o nim w 1980 roku, w grudniu, przy okazji Nagrody Nobla. Jeśli cokolwiek do tego czasu czytałem z Miłosza, to były to utwory w „Tygodniku Powszechnym”, gdzie publikował pod pseudonimem Adrian Zieliński. W latach 1980-86 wykorzystywałem jego teksty w pracy duszpasterskiej, podczas katechezy, spotkań oazowych. Ale wielka fascynacja wierszami i esejami Miłosza to rok 1986, początek moich studiów doktoranckich.

- Które dzieła Miłosza są dla Księdza Profesora najważniejsze?

- Przede wszystkim poezja. Do moich ulubionych wierszy należą „Świat. Poema naiwne”, „Oeconomia Divina”, sporo wierszy z tomów „To”, „Druka przestrzeń”, z cyklu „Ogród rozkoszy ziemskich”. Przeczytałem też całą (chyba...) eseistykę Miłosza, która stanowi klucz do interpretacji jego poezji, jest swoistym reflektorem, dzięki któremu rozumiemy wiersze głębiej i wyraziściej. W 1986 roku zostałem wysłany przez swojego biskupa na Katolicki Uniwersytet Lubelski i zacząłem przymierzać się do doktoratu z teologii dogmatycznej. Przyglądałem się swoim zainteresowaniom, możliwościom, zastanawiałem, co chciałbym robić. Praca naukowa nie może być tylko wypadkową przypadku, woli przełożonych i promotorów – musi być z nas, z naszych „bebeczów”, z wewnętrznej pasji, bo inaczej będzie wymuszonym gniotem. Rosło we mnie przekonanie, że powinienem pójść w kierunku interdyscyplinarnym, wykorzystać w teologii swoje zamiłowanie do kultury, sztuki, zwłaszcza literatury. Wybór padł wtedy na Miłosza. Chciałem, żeby temat, z którym kilka lat powalczę, to był duży niedźwiedź, żeby z tego wyszedł o coś mądrzejszy niż jestem. Już orientowałem się wtedy, co Miłosz przeczytał i przeżył – w 1986 roku miał 75 lat. Wiedziałem, że sam będę musiał wiele rzeczy przeczytać, przemyśleć, może nawet przecierpieć. To mnie fascynowało. Mój wybór miał też uzasadnienie czysto estetyczne: to jest po prostu fantastyczna literatura... I jeszcze jedna rzecz – dla mnie, synka z Pszowa, rdzennego Ślązaka, interesujące było głębsze wejście w świat, do którego nie miałem dotąd dostępu, w świat polskiej szlachty, ziemiaństwa, intelektualistów, których potomkowie decydują o kształcie współczesnej Polski, zasiadają – dziś, na przykład – w gremiach redakcyjnych. Chciałem poznać i zrozumieć ich mentalność, korzenie. Miłosz, ze swoim pochodzeniem i biografią, świetnie spełniał te warunki. No i oczywiście chciałem się też podszkolić w polszczyźnie, ważnej dla mnie jako dla księdza i poety. Żywioł słowa jest naturalnym środowiskiem dla obu powołań.

Zajmowałem się twórczością Miłosza intensywnie, badawczo, przez 10 lat. Miała ona być początkowo tematem mojego doktoratu, jednak ostatecznie promotor, abp Alfons Nossol, doszedł do wniosku, że lepiej będzie skupić się na teorii, na czystej metodologii i „skonstruować” w dysertacji doktorskiej aparat do badania tekstów literackich pod kątem teologicznym. Wykorzystałem później ów „aparat” w badaniach praktycznych, w rozprawie habilitacyjnej pt. „Problem teologicznego wymiaru dzieła Czesława Miłosza”, którą opublikowałem w 1996 roku.

- Czy kiedy ukazał się „Traktat teologiczny”, był Ksiądz Profesor zaskoczony? Myśl religijna, teologiczna, metafizyczna była u Miłosza już wcześniej – czy zatem ten utwór stanowi jej podsumowanie? Jak czytać „Traktat teologiczny”?

- Nie byłem zaskoczony. Było dla mnie jasne, że cała literatura Miłosza przed „Traktatem teologicznym”, czyli do 2001 roku, jest już mniej lub bardziej zaszyfrowanym traktatem teologicznym. „Traktat teologiczny” wnosi niewiele nowego w stosunku do teologii literackiej, rozwijanej przez poetę przez całe dziesięciolecie. Nowością jest silny wątek mariologiczny, który zamyka „Traktat...”. Podobną puentą – mariologiczną – kończą się dokumenty Urzędu Nauczycielskiego Kościoła. „Piękna Pani”, ostatnia część „Traktatu...”, jest wierszem o ukazywaniu się Matki Bożej w Lourdes i Fatimie. To akt niemałej odwagi człowieka, który reprezentuje określone środowisko. Ten typ mariologii, pobożności prywatnych objawień, nie jest częstym zjawiskiem ani mocną stroną katolicyzmu „Tygodnika Powszechnego”, tak to środowisko – do którego Miłoszowi przecież było najbliżej – umownie określimy. To odważny, nowy i bardzo ciekawy element twórczości Miłosza.

- Jak Ksiądz Profesor ocenia „Traktat teologiczny”? Jakim Miłosz jest teologiem?

- Nie chcę nad tym dziełem kapryścić – mówię to z perspektywy człowieka, który do momentu ukazania się „Traktatu teologicznego” przeczytał prawie wszystko, co Miłosz napisał i jest głęboko przekonany, że mamy w dziele literackim Miłosza do czynienia z teologią niemałej miary. Przed „Traktatem...” nie ukazał się tekst, który by te wszystkie wątki zbierał, syntetyzował – być może to jest „Traktatu...” walor największy. Natomiast o teologii Miłosza w ogóle, także tej zawartej w „Traktacie teologicznym”, jestem złożonego zdania: głęboka, ciekawa, ale też nie brak w niej heterodoksyjnych, ślepych uliczek. Najbardziej krytycznie postrzegam liczne i zapętlone wątki gnostyckie, manichejskie.

- Słynne „manichejskie trucizny”...

- Miłosz używa pojęcia „manicheizm” w bardzo specyficzny sposób. U niego „zaprawa manichejska”, „manichejskie odchylenie” czy „konieczny komponent manichejski we współczesnej literaturze” to właściwie synonim podwyższonego poziomu wrażliwości na ból, cierpienie i krzywdę, a co za tym idzie: skłonność do współczucia, litości. To właśnie nazywa manichejskością, lecz nie o tym mówię krytycznie. Co innego Swedenborg, Blake, alchemicy, różokrzyżowcy, kabała... To są ślepe zaułki. Dlaczego? Bo nie są prawdą. Skąd wiem, że to nie jest prawda? Bo mi to mówi Kościół, wspólnota, fenomen, któremu Chrystus obiecał w tych kwestiach asystencję Ducha Świętego. A koniec końców, ciekawa jest tylko prawda, tak w życiu, jak w nauce. Podstawowy i całkowicie ją dyskredytujący feler gnozy polega na tym właśnie: że nie jest ona prawdą. Słabość refleksji teologicznej Miłosza tkwi w tym: w pokusie gnozy. Eklezjologia także nie jest mocną stroną teologii Miłosza. **Jeśli autor „Traktatu teologicznego” ma jakiś kłopot z „Credo”, to we fragmencie „wierzę w jeden, święty, powszechny i apostołski Kościół”. Dla Miłosza Kościół to przede wszystkim instytucja, z którą się szarpie, zwłaszcza wtedy, gdy zrasta się ona z polskością.** To bardzo charakterystyczne dla środowiska, z którego pochodził: połączenie inspirującej debaty, w której często padają trafne pytania i zarzuty, ale słabej pod względem eklezjologii. Teologia to nauka posługująca się tak rozumem, jak wiarą. Bez wiary teologia traci swą tożsamość i zamienia się w religioznawstwo - z całym szacunkiem dla religioznawstwa: teologią ono nie jest.

Jednak w całościowym oglądzie teologia Miłosza ma niemało plusów. Chrystologia, na przykład. Miłosz uczył się postaci Chrystusa od najlepszych - Fiodora Dostojewskiego i Simone Weil. U Dostojewskiego, którego przez lata wykładał w Berkeley, dostrzegął niezwykle głęboką refleksję na temat bogoczości Chrystusa, u Weil - przenikliwą myśl na temat unizienia Chrystusa, Jego pokory, wycofania, tzw. kenozy. Latami uczył się greki *koine* i hebrajskiego, przetłumaczył kilkanaście ksiąg Pisma Świętego. Chrystologia, więz z ukrzyżowanym, Bóg, który się wciela po to, żeby za nas umrzeć, mistycyzm - to najbardziej „błyszcący punkt” teologicznej myśli poety.

- **Teologia to też zmaganie z ograniczeniami, niewystarczalnością języka. Jak Miłosz, znakomity poeta, radził sobie z wyrażaniem treści, wobec których często brak adekwatnych słów?**

- Miłosz stworzył typ języka, który jest w stanie znakomicie wyrażać teologiczne treści. Te tendencje współczesnej poezji, które polegają na traktowaniu języka jako celu ostatecznego, te, które są zafascynowane jedynie fragmentarycznością językowego „uchwyty” rzeczy-

wistości albo skoncentrowane na zabawie językiem, także tej okrutnej – te z definicji nie nadają się do wyrażenia treści teologicznych. **Z inkantacji psalmicznej, z ucha przyłożonego do wersetów biblijnych Miłosz stworzył styl, który potrafi unieść teologiczne prawdy. To jest genialne: literatura, która poprzez słowo zbliża nas do Logosu.** Wielką wartością jego dzieła jest też filozofia realizmu epistemologicznego i ontologicznego. Stąd bierze się to charakterystyczne spojrzenie na poszczególnego człowieka, a nie na „ludzkość jako taką”. Człowiek istnieje, ludzkość nie bardzo... To jest bliskie chrześcijańskiej „uważności” na każdą jedną kroplę krwi i potu poszczególnego człowieka.

- W „Traktacie teologicznym” czytamy: „Nie jestem i nie chcę być posiadaczem prawdy”, spokój wiary zostaje nazwany samozadowoleniem. Jak Książd odnosi się do tych fragmentów? Wolno w traktacie teologicznym pisać takie rzeczy?

- W traktatach teologicznych wolno pisać różne rzeczy (i faktycznie pisano różne – w ciągu wieków), ale trzeba jasno powiedzieć, że sam szacowny tytuł poematu, eseju czy rozprawy nie czyni jeszcze automatycznie każdej zawartości teologią... „Posiadacz” to słowo z agresją w środku; też nie chcę być prawdy posiadaczem (a na pewno nie jestem jej wytwórcą, „producentem”), ale chciałbym być jej poszukiwaczem, znalazcą (a nie posiadaczem), beneficjentem, żeby mi była światłem na drodze życia i tym samym, żeby mnie czyniła wolnym. Poznacie prawdę, a prawda was wyzwoli – powiedział Jezus (J 8,32). Natomiast spokój wiary jako samozadowolenie? To, najłagodniej mówiąc nieporozumienie, pomyłka – jasne, że prawda wiary koi serce, daje mu pokój („niespokojne jest serce moje dopóki nie spocznie w Tobie”, to Augustyn, który wiedział na ten temat naprawdę niemało). Ale utożsamiać to z samozadowoleniem? No cóż, wiara jest wszystkim tylko nie samozadowoleniem; przede wszystkim ona otwiera na innych, każe z nimi współcierpieć, otwiera oczy na własną grzeszność etc. Dlatego nieco się dziwię... Czytelnik powinien mieć świadomość, że czytając „Traktat teologiczny” Miłosza, ma przed sobą genialny tekst znakomitego autora, ale to nie jest *Credo nicejsko-konstantynopolińskie*. Jeśli chcę się dowiedzieć czegoś na temat wiary, która ma kształtować mój umysł i życie, to czytam Ewangelię i teksty soborowe, a nie Miłosza. Natomiast jeśli chcę się dowiedzieć czegoś o zderzeniu, przenikaniu i aporiach chrześcijaństwa ze współczesnością, o zmaganiach człowieka, który próbuje świadomie istnieć w obu tych przestrzeniach, jakoś je w sobie godzić, wtedy sięgam po „Traktat teologiczny” – ale, jeszcze raz powtórzę, nie jest on wyznacznikiem rozwoju mojej wiary czy myślenia teologicznego. Te wywodzą się z innych źródeł. Umieję sobie

wyobrazić kłopoty czytelnika – zawarte w Pani pytaniu – lecz nie można mieć pretensji do Miłosza, że nie jest Janem Pawłem II i, odwrotnie, nie można Miłosza stawiać w miejscu Jana Pawła II. **Tekst literacki, nawet najlepszy, ma rangę taką, jaką ma – nie większą (bo to nie jest encyklika) i nie mniejszą (bo to jednak wspinała literatura).**

- Wielu interpretatorów „Traktatu teologicznego” zwraca uwagę, że autor krytycznie odnosi się do towarzyszącej wierze obzędowości. Czy Miłosz przewidział, że pojawią się tendencje, aby lokować religię w sferze prywatnej, przeżywać ją bardziej jako doświadczenie osobiste niż wspólnotowe?

- Jestem zwolennikiem traktowania literatury jako sejsmografu, który świetnie pokazuje drgania naszej wrażliwości duchowej, stan intelektualny, moralny naszego świata. Miłosz, jak każdy wielki twórca, miał ucho przy samej ziemi. Miał też intuicję, a poniekąd był zwiastunem tego zjawiska – pamiętajmy, że był reprezentantem swojego środowiska, które przejawiało i przejawia tendencje do silnego prywatyzowania religii. Wraca tu kwestia słabej eklezjologii wywiedzionej nie z Objawienia (przynajmniej nie pierwszorzędnie), ale z historii i socjologii. Konsekwencją ułomnej eklezjologii jest koncentracja na prywatnej, indywidualnej wolności w sprawach wiary, wycofanie religijności z przestrzeni Kościoła.

- W wierszach z cyklu „Ksiądz Seweryn” Miłosz pokazuje rozterki i niepewność, ciągłą oscylację między wiarą i niewiarą, poczucie bezsilności. Czy pocie udało się dotknąć autentycznych dylematów kapłaństwa?

- W tej dziedzinie Miłosz nie jest dla mnie aż tak ciekawy – z całym szacunkiem, ale o byciu księdzem wiem nieco więcej niż on, z oczywistych względów. Z życia swojego i moich kolegów w koloratkach wiem, że księża nie są monolitami – jesteśmy skomplikowanymi kłębkami pragnienia Boga i przywiązania do grzechu, cierpienia i szukania pokoju, przebaczenia; Bóg się na nas zawodzi, nasi bliźni na nas, my sami na sobie; ale wiemy, że żyjemy z Łaski, że człowiek jest kruchy i nasza wierność jest nieustannie wyżebrywana, że cały czas musimy trzymać Boga za nogi i nic więcej... I że Bóg nas chce, naszego powołania, dania życia dla tej wielkiej Sprawy. W każdym razie: nie jesteśmy ani lepsi ani gorsi od innych Adamów, ani Ew. Wiem też, że często spojrzenie z zewnątrz – nierzadko z naszej winy – dostrzega tu jedynie monolit, i to jest dla mnie dość bolesne. Cierpię, zwłaszcza wtedy, gdy się we mnie widzi urzędnika, a nie człowieka, który jest wrażliwy na ból, który czuje. W tym znaczeniu rozumiem, że ten tekst jest ważny i potrzebny. Summa summarum, świetnie, że powstał.

- Wartością „Księdza Seweryna” jest także to, że nawiązuje dialog między stronami, którym tego dialogu brakowało...

- Pełna zgoda. Szkoda, że tego nikt z nas, kapłanów, nie napisał... Ale po to mamy poetów, żeby nazwali, co nam gra w duszy, to jest łaska wieszczów. Mówię to z pełną pokorą. Jednak, wyjaśniam, część dylematów zapisanych w „Księdzu Sewerynie” jest mi obca. Wynika to prawdopodobnie z kształtu religijności, w której wyrosłem. Religia była powietrzem, którym oddychałem w dzieciństwie. Była czymś najnaturalniejszym, nigdy opresją. Podstawowe stany i emocje, takie jak miłość, pragnienie czułości czy strach, uczyłem się wyrażać w przestrzeni religijnej. Nie było w tym nic sztucznego, nikt mnie nie bił, że się nie modliłem, nikt do niczego nie zmuszał. **Rodzice dali mi świadectwo swojej wiary, którego być może nie znali ludzie ze środowiska bliskiego Miłoszowi. Na co dzień mogłem doświadczać Kościoła jako domu i komunii; dla nich Kościół był odległy, był gdzieś na zewnątrz ich świata.** Żyli w dworach, do których dwa razy w roku przychodził pleban: święcił jajka na Wielkanoc i odprawiał kolędę. Rzeczy związanych z miłością i cierpieniem uczyli się wyprawiając się na uniwersytet do Bolonii, wyrażali je w języku Petrarcki, Heideggera albo Pascala, podczas kiedy moje środowisko wyrażało je słowami Gorzkich Żali... Od „początku”, jak daleko sięga pamięć mojego serca, wiem, że w Bogu nie ma żadnej ciemności, a Oko Opatrzności nie przygląda mi się z cynizmem czy sadyzmem. Takie myślenie jest dziedzictwem agnostycyzmu albo ateizmu... Proszę mnie dobrze zrozumieć: ani z tego nie szydę, ani nie uważam się za lepszego – nie mam żadnej zasługi w tym, że rodzice dali mi proste, czytelne świadectwo tego, że Bóg jest dobry, a religia jest strefą wolną od przemocy – bo religia nigdy nie była dla mnie przemocą! To szło zresztą dalej: właśnie tylko wiara świat od przemocy jest zdolna uwolnić... Jasne, że to miało swoje i wypukłe i wklęsłe strony: jeden proboszcz był lepszy, inny gorszy. Mówię tylko, jak rozumiem ten mechanizm, gdzie widzę źródło nieustannej pretensji pod adresem Kościoła. Mówimy już teraz, jak rozumiem, nie tyle o samym Miłoszu, co, przy okazji, o debacie społecznej, o podziałach, o obecności Kościoła w naszej współczesności.

- **Ten podział wiele osób niepokoi. Jak szukać porozumienia, pokonywać uprzedzenia i nieufność?**

- Sam szukam odpowiedzi i rozwiązań... Nie znam większego, skuteczniejszego i czystszy argumentu niż świadectwo. Ono jest zawsze silniejsze niż jakakolwiek perswazja intelektualna. Dla religijnego życia człowieka dość decydujący jest dom rodzinny. Nie wykluczam oczywiście konwersji – ludzkie życie to ciągle otwarty projekt, mogę w nim doprowadzić do katastrofy jutro i pojutrze, wszystko jest możliwe w każdym

momencie. Kto stoi, niech baczy, by nie upadł, powiada św. Paweł. Ale, na szczęście, i odwrotnie: możliwy jest zawsze powrót do dobra. Wróćmy do głównego wątku: są jednak tory, którymi życie podąża. Jestem księdzem od ponad trzech dekad. Pod koniec lat 70. byłem wikarym w kilku parafiach Górnośląskiego Okręgu Przemysłowego. Spotykałem wtedy wiele świeżo nawróconych nastolatków, protestujących przeciw partyjnym tatusiom, biorących udział w oazach etc. Nieco dalej od centrum parafialnego życia pozostawały osoby z najbardziej tradycyjnych rodzin. Dziś okazuje się, po trzydziestu latach, że generalnie została w Kościele ta druga linia, że wiara oparta na młodzieńczym zapale, czasem buncie, nie wytrzymała nieraz próby czasu... Oczywiście, jest wiele wyjątków. Ale jednak decydujący jest biograficzny *background*, czyli rodzina, środowisko, z jakiego pochodzimy. Nie wyznaję skrajnego determinizmu, lecz to zaplecze często rozstrzyga o wyborze stylu życia. Dlatego tak wielki bój toczy się współcześnie o rodzinę, o to, żeby zachować ją w tradycyjnym, chcianym przez Boga kształcie. Katolicyzm nie ma wątpliwości, że jest to od Boga: mężczyzna i kobieta, nierozzerwalny sakrament, dzieci jako owoc ich wzajemnej miłości, zdecydowane „nie” dla aborcji i antykoncepcji etc. Jeśli się to udaje, wtedy młody człowiek od początku jest chroniony. W niczym nie muszę mieć racji, ale jasno mówię co i dlaczego myślę.

- Współcześnie obserwujemy zamiany obyczajowości, mentalności, świadomego odchodzenia od tradycji. W jaką stronę kierują nas te procesy?

- Boję się, że w niekorzystną. Nie wiem, czy mam rację, nie chciałbym jej mieć... Mój arcybiskup Damian Zimoń by się zapewne z tą prognozą nie zgodził – powiedziałby, że w Niedzielę Palmową do katowickiej katedry przyjechało kilka tysięcy młodych osób z całej diecezji, że kilka tysięcy wiernych wzięło udział w nabożeństwie Drogi Krzyżowej na ulicach Katowic. To prawda, cieszy mnie to ogromnie! Lecz niepokoję się, że zwiększa się procent tych, którzy myślą i żyją inaczej...

- Świadectwo jest najważniejsze, ale bez argumentów trudno prowadzić dialog...

- Zatem trzeba ich dostarczać. Większość tez atakujących chrześcijaństwo to intelektualna lipa, nie jest wcale tak trudno na nie sensownie odpowiedzieć. Natomiast w najgłębszym sensie świadectwo jest najcenniejsze. Pewnym rzeczom po prostu trzeba dać czas. Z dobra zawsze narodzi się dobro, a ze zła – zło, tak jest od zawsze. Warto więc inwestować w to, co dobre, bo to na pewno przyniesie owoce. Podsumowując, jestem mającym nadzieję pesymistą. Jako dokładne przeciwieństwo zrozpaczonych optymistów...

- **Miłosz niepokoił się o zanik hierarchii, pisał, że „pierwsze ma być pierwsze”.**

- Te słowa Miłosza budzą mój największy szacunek. Według niego literatura ma być otwarta na Prawdę i nieustannie jej poszukiwać. Nie jakieś ble ble, ani też żadna linia Przybosa (język wielbiący samego siebie). Logos musi ważyć, a literatura musi mieć za sobą i w sobie, w arteriach swoich wersetów, coś większego niż ona sama. Rozmawiajmy, spierajmy się, ale niech to będą rzeczy naprawdę ważne. Mamy tylko to życie, na błahostki szkoda czasu. To jest ten cudowny komunikat Miłosza, tak mi drogi.

- **Szkoda, że troska o zachowanie hierarchii często umyka podczas czytania Miłosza. Zainteresowanie „Traktatem...” ma także pozaliteracki skutek – treści, argumenty, wątpliwości wyrażone przez Miłosza często zasilają publicystykę, komentującą życie religijne, poeta jest przywoływany jako krytyk obrzędowości, reprezentant rozrachunkowego podejścia do katolicyzmu...**

- To się bierze również, podejrzewam, ze złej woli niektórych interpretacji. Jeśli człowiek nie chce się nawrócić, to nie chce słyszeć żadnych racji, żadnych argumentów w tej sprawie. Najwygodniej skoncentrować się na plemienności religii (bo pisał o czymś takim, jasne) i jako taką – potępić, obśmiać. Ale to przecież niezwykle ogranicza, redukuje myśl poety. Człowiek nie myśli i nie działa bez (nie)religijnych i etycznych decyzji. Nie istnieje ludzkie myślenie bez związku z etosem myślącego podmiotu – to podstawowa teza humanistyki. Jeśli traktuję wiarę serio, nie mogę zmieniać żon, należeć do mafii ani żyć w kłamstwie. Na pewnym poziomie wszystko, co mówię, jest uzasadnieniem stylu życia, jaki prowadzę. Mówię w pierwszej osobie, bo mówię o sobie, nie o kimś innym. Rozmawiamy niby o Miłoszu, i naprawdę rozmawiamy o Miłoszu, ale też cały czas o czymś więcej, o kimś więcej – o nas... To jest najbardziej fascynujące w literaturze. Że aż tak dotyka życia... Biedna młodzież myśli w szkołach, że jest dręczona literaturą, a chciałaby żyć. Tymczasem literatura, dobrze wykładana, służy temu właśnie: pragnieniu życia, rozumieniu życia.

- **Życmy zatem młodzieży więcej wnikliwości i cierpliwości w czytaniu literatury, a polonistom zapału w przełamywaniu schematu i odwagi w pokazywaniu interpretacji poza przysłowiowym kluczem maturalnym.**

Dziękuję za rozmowę.

Katowice, kwiecień 2011 r.
Rozmowę przeprowadziła
Małgorzata Tytko